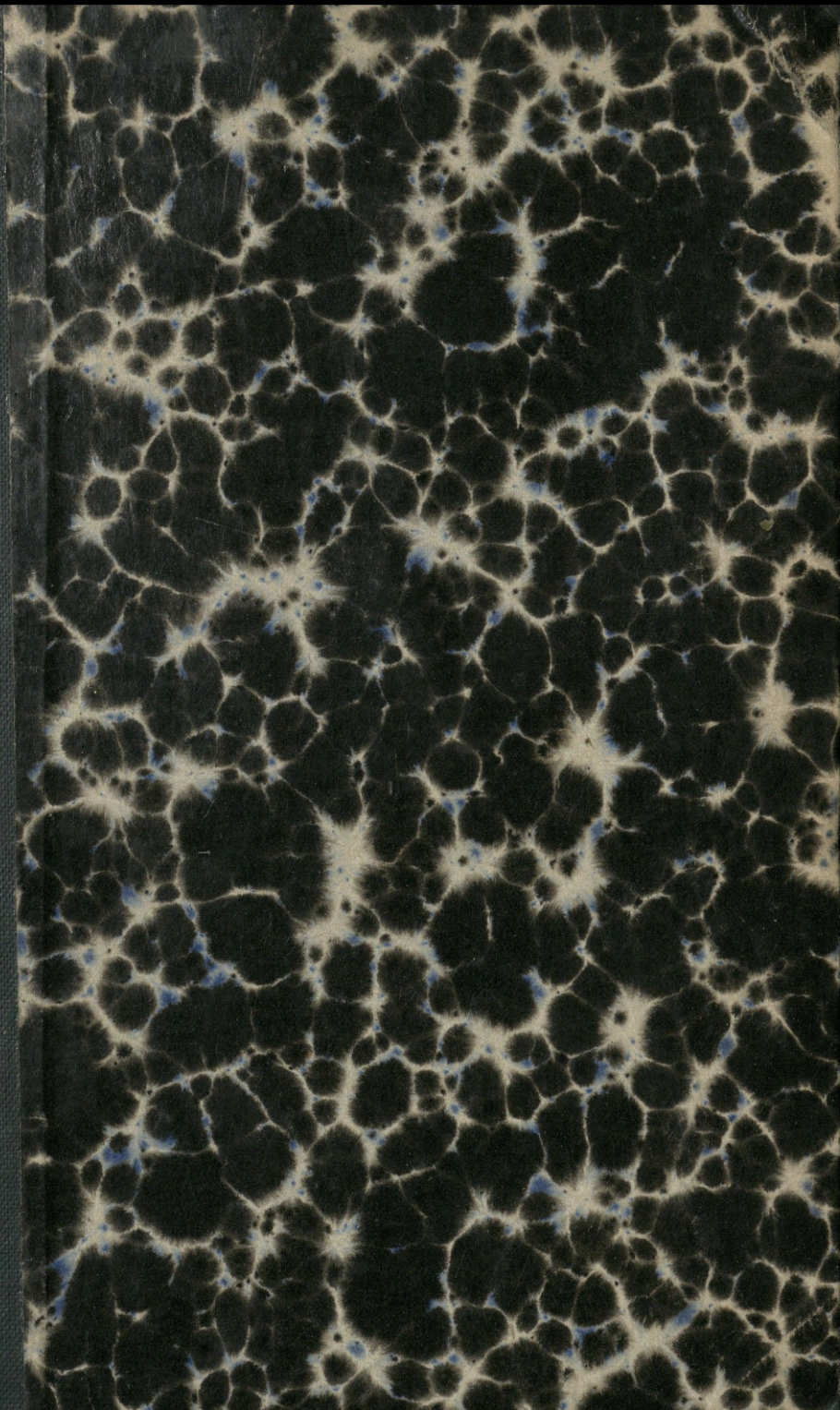
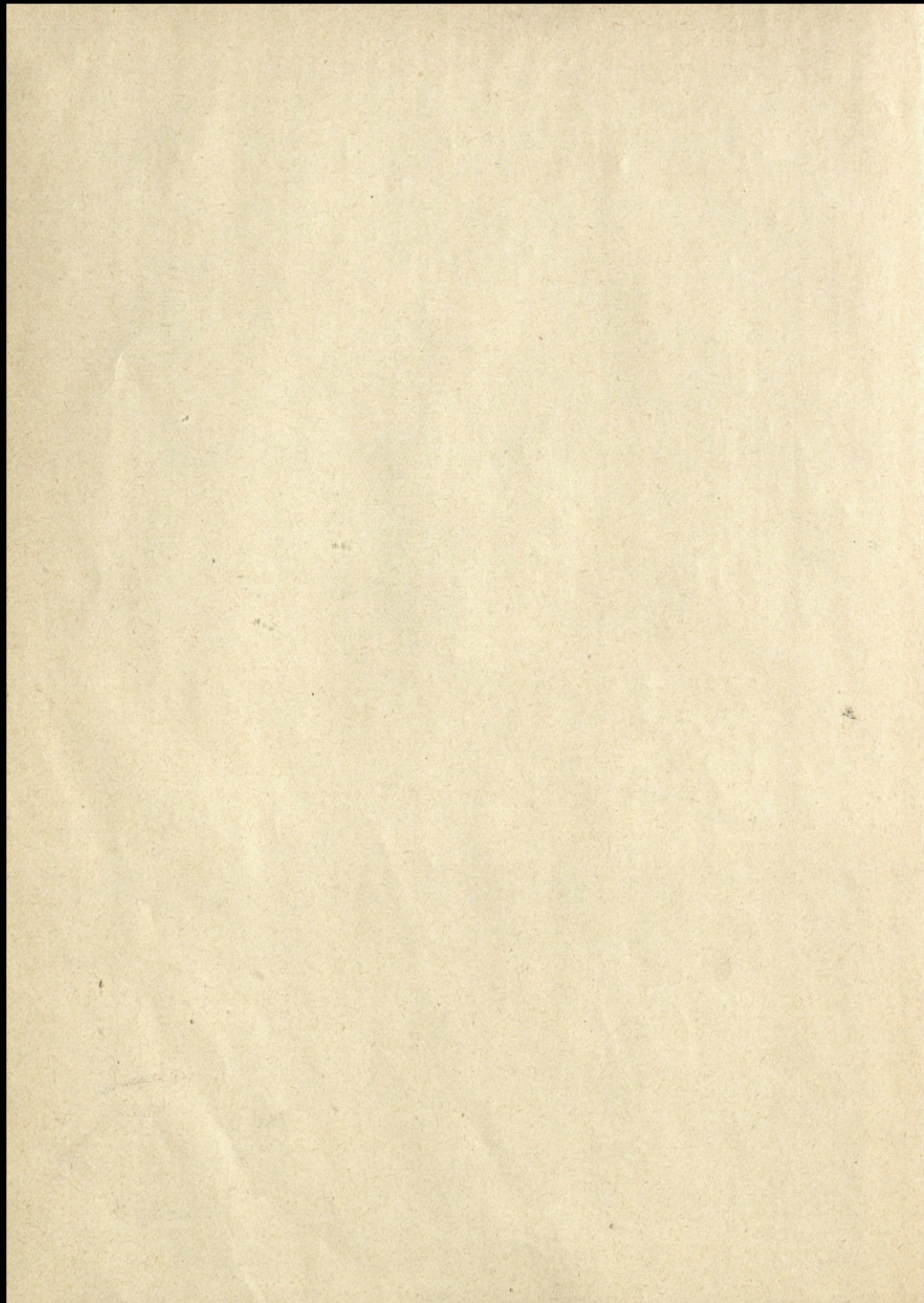


11



NAKŁADEM
CENTRALNEGO
BIURA
WYDAWNICTW
N.K.N.



ROK WOJNY W WARSZAWIE

THE UNIVERSITY OF CHICAGO

STANISŁAW DZIKOWSKI
R O K W O J N Y
W W A R S Z A W I E
N O T A T K I



1957/2

1957/6

NAKŁADEM CENTRALNEGO BIURA
WYDAWNICTW N. K. N. W KRAKOWIE

1

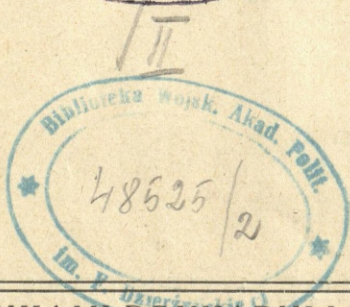
9

1

6



12658



ODBITO CZCIONKAMI DRUKARNI LUDOWEJ
W KRAKOWIE. W MARCU 1916 ROKU



I.

Stała się nareszcie naszą własnością ta upragniona chwila, kiedy my wszyscy, cośmy przeżywali wojnę w odmiennych warunkach i nastrojach, możemy obdarzyć się wzajemną opowieścią i wzajemnem doświadczeniem.

Zniknie zapewne dzięki temu raz na zawsze wiele uprzedzeń, pogłosek fałszywych, nieporozumień i przewrotnych plotek, które jak złe robactwo pełzały po całej Polsce właśnie wtedy, kiedy wiłość prawdziwa nieraz z wielkim trudem musiała sobie torować drogę. Warunki zewnętrzne naszego dzisiejszego bytu pozwalają już na to, aby świadomość narodu mogła być pogłębiona i pomnożona o tę właśnie sumę doświadczenia. Każdy jednak, kto w tej chwili bierze na siebie rolę informatora, musi dobrze pamiętać o tem, że wszelka nieściskość i nieprawdziwość byłaby błędem nie do darowania, błędem podwójnym. Tej odpowiedzialności i ja jestem świadom. Nie należąc do żadnej partii politycznej w ścisłem tego słowa znaczeniu, będę usiłował odtworzyć wierny obraz nastrojów Warszawy, jako obserwator niezależny od nikogo.

Jeśli zaś w tem przedstawieniu rzeczy znajdują się najrozmaitsze luki i niedopatrzenia, to nie należy składać tego na karb jakiejś szczególniejszej orientacji. To, co mam



do powiedzenia są to wrażenia i to wrażenia nieraz luźne, nieskoordynowane ze sobą i różnolite pod każdym względem. Wydaje mi się jednak, że taka tylko zostaje droga, skoro pracę swoją pojmuje się jako gromadzenie materiałów dla tych, którzy będą usiłovali ogarnąć całość olbrzymiego zjawiska. Myśmy widzieli tylko ułamki. I taki też musi być na razie charakter naszych wspomnień wszelakich.

.....

Ażeby dokładnie zrozumieć i osądzić Warszawę podczas wojny, należy chociaż pokrótce sobie uprzytomnić, czem była Warszawa, czem było Królestwo Polskie przed wojną... A wydaje się to tem bardziej potrzebnem, bo jak się okazało, wszystkie organizacje polityczne i militarne, które przygotowywały polski ruch zbrojny na wypadek wojny europejskiej — poznały istotny stan psychiczny Warszawy dopiero po zajęciu jej przez wojska sprzymierzone. A jednak to, co widzimy dzisiaj, to tragiczne wahanie się Warszawy, jej bierność, która przeraża wszystkich czynu spragnionych, jest naturalnem, logicznem następstwem stanu, w jakim się znalazła po upadku rewolucyi 1905 r. Najsilniejsze rozczarowanie przeżyli ci wszyscy, którzy wierzyli, że Warszawa pozostanie na zawsze wiecznie buntowniczą. Myślano, że zajęcie tego „serca Polski“ stanie się przełomową epoką w dziejach sprawy polskiej. Mało kto po tej stronie wątpił, że Warszawa przemówi, tak, jak przemawiała niegdyś. Ale stało się inaczej... W tych dziwnych czasach, w których żyjemy, rzeczywistość zdruzgotała już tyle uprzedzeń, tyle z góry powziętych doktryn. Nie należy się dziwić niczemu. Kiedy Galicya, ta Galicya, którą w całej Polsce uważano za kraj

dorobkiewiczów politycznych i małych instynktów życiowych, zdobywa się na jedno bohaterstwo po drugim i za cały naród krwią swą szafuje — Warszawa, z którą łączyły się wszystkie nasze tradycje rewolucyjne, waha się, namyśla i nie może zdobyć się na jakikolwiek czyn narodowy. Mimowoli narzuca się pytanie, gdzie jest źródło tej niemocy, jaki jest rodowód tragicznej bierności. Zanim bowiem wolno nam będzie sądzić Warszawę, trzeba ją zrozumieć i poznać...

Po zwycięstwie reakcyi, po likwidacyi wszystkich nadziei swobodnego rozwoju narodowego, Warszawa pustoszeje z dniem każdym. Działalność ochrany wzmacnia się z niesłychaną siłą. Wkońcu rozpoczyna się długa emigracja nietylko żywiołów rewolucyjnych w znaczeniu politycznym, ale także i tych wszystkich, którzy w stosunku do kultury narodowej zajmowali stanowisko radykalne w jakimkolwiek tego słowa znaczeniu. Wszystko, co było w Warszawie śmiałego, niespokojnego i niezależnego, rozprasza się powoli. Nawet ta garść ludzi, która poczuwała się do obowiązku trwania na stanowisku, spostrzega niebawem, że nie jest w mocy zmienić nastroju bezwładu politycznego i anarchii kulturalnej, który szerzył się jak zaraza po całym Królestwie Polskiem. Któż chciał w tych czasach smutnych i nieprawdopodobnych poświęcić swoje młode lata na to, aby być niezrozumianym, wyszydzonym i zlekceważonym. Niewielu zostało takich, którzy zgodzili się wlec za sobą łańcuch samotności i upokorzenia. Niewielu zdołało w pracy indywidualnej, której potrzeby nikt nie rozumiał, znaleźć bezwzględne zapomnienie. Opuszczali Warszawę nietylko politycy, ale i pisarze, publicyści, artyści, uczeni — opuściła Warszawę młodzież uniwersytecka,

która przed kilku laty jeszcze wywierała tak silny wpływ na opinię całego Królestwa. Warszawa staje się miastem starem, z jej oblicza znika na długie lata rumieniec młodości, gaśnie zapał i entuzjazm wszelaki, martwieje życie intelektualne i umysłowe. W stosunku do kultury polskiej Warszawa jest miastem zajezdnem. Od czasu do czasu ktoś tu urządza wystawę obrazów, od czasu do czasu błysnie jakaś książka, jakaś broszura, jakiś odczyt — ale istotne życie kulturalne Polski organizuje się bez udziału Warszawy i bez jej wiedzy. Nietylko nie jest ona w stanie stworzyć własnego ruchu kulturalnego, ale nie wie nawet dobrze, co się dzieje poza nią.

Powoli Warszawa zaczyna tracić nawet niedawne swoje cechy obyczajowe. Miasto się rozwija, ale nikt nie dba o jego estetykę zewnętrzną, nikomu nie przychodzi na myśl troska o wnętrze mieszkań. Warszawa się zabudowuje w sposób ohydny, przypadkowy i dowolny — Warszawa wyzbywa się swoich zabytków, swoich uroczych pałaców, starych domów i podwórz z lekkomyślnością nędzarza, który nie ma już nic do stracenia. Z każdym dniem ginie jej dawny charakter, jej zwyczaje, jej odrębność nawet w zabawach i uciechach. Ulica staje się nudną i bezbarwną zarówno w dzień, jak i w nocy — upada życie towarzyskie, dawne salony warszawskie przekształcają się w jarmarki i giełdy literackie, na których dobrze wychowany człowiek ślizga się po zagadnieniach chwili, jak ekwilibrysta. Bożyszczem Warszawy jest teatr, który zastępuje miastu politykę, parlament, sejm, wszystkie sprawy kulturalne i społeczne. Cała Warszawa ma bakcyła teatralnego. Wszystkie kobiety marzą o tem, aby zostać aktorkami. Wszyscy literaci warszawscy zaczynają swoją ka-

ryerę od napisania sztuki teatralnej. Każdą zmianę w kierownictwie teatralnem Warszawa przeżywa z taką intensywnością, jak gdyby chodziło o upadek gabinetu. Wszystkie pisma warszawskie zapełniają codziennie długie szpalty tak zwanymi wzmiankami teatralnymi. Nawet podczas oblężenia Warszawy nie brakło w „Kuryerze Warszawskim“ pocieszających biuletynów na temat, że pani Lucyna Messal, prymadonna operetki warszawskiej cieszy się jednak dobrem zdrowiem i że nowo przez nią zastosowany masaż sprzyja pod każdym względem jej urodzie i... powodzeniu, jakim się cieszy w szerokich kołach swoich wielbicieli.

I jeśli teraz uprzytomnimy sobie, że pomimo zaniku życia politycznego i kulturalnego mocą samej bezwładności stanęli w Warszawie u steru pewni ludzie, to łatwo zrozumimy, że musieli oni być w ścisłej łączności z przejawami tego życia, które wyrzuciło ich na powierzchnię. Przez cały czas okresu porewolucyjnego, przez cały czas wojny aż do chwili zajęcia Warszawy polityczne rządy Królestwa Polskiego sprawowała partya narodowo-demokratyczna, przede wszystkim dlatego, że była ona jedynym stronnictwem dobrze zorganizowanym, działającym śmiało i bez zastrzeżeń. Była N. D. stronnictwem opierającym się w pewnej części na sferach ziemiańskich, które wówczas święciły wielkie sukcesy ekonomiczne. Partya ta umiała wysuwać zawsze hasła nieskomplikowane i proste — umiała przemawiać do społeczeństwa w sposób demagogiczny i umiała otworzyć przed niem pole pracy bardzo realnej i bliskiej. W ten sposób osiągnęła wysoki sukces, kiedy postawiła na nowo sprawę żydowską i jako zwalczanie żywiołu obcego zainicjowała ruch współdzielczy.

Nie jest mojem zadaniem przedstawić tu w całej rozciągłości działalność partii narodowo-demokratycznej, ani też poddawać ją szczegółowej krytyce. Muszę jednak stwierdzić stanowczo, że podnosząc hasła agitacyjne nie miała ona żadnych haseł ideowych, że akcentując na każdym kroku swoje stanowisko narodowe, bratała się z ugodowcami i zawierała pakt z Rosją, chociaż to nie miało żadnego realnego znaczenia. Budowała życie gospodarcze społeczeństwa polskiego, ale demoralizowała jego życie kulturalne, nie dostrzegała głębszych potrzeb narodu — a jeśli je widziała, to je świadomie lekceważyła i przyczyniła się do skryształizowania najwulgarniejszego katechizmu narodowego. Dbała o to, aby społeczeństwo było zamożnym, ale nie wszczepiła w jego duszę ani jednej wyższej, szlachetniejszej potrzeby. Organizując ruch współdzielczy, narodowa demokracja narzuciła społeczeństwu Królestwa Polskiego tę nieszczęśliwą pewność, że oto stanęliśmy na jedynym gruncie naszych dążeń, że poza walką z żydami i zakładaniu sklepów współdzielczych niema już nic godnego uwagi, niema żadnych potrzeb, żadnych celów konkretnych. Ugodowa polityka tego stronnictwa wykazała w ostatnich czasach krótkozwrotność haniebną. Można było na początku wojny wierzyć w zwycięstwo Rosyi, bo to była gra w *rouge et noire*, ale nie wolno było pozbawiać narodu życiodajnej godności, nie wolno było zohydzać tych wszystkich, którzy grali na inny kolor, nie wolno było poniżać wszystkimi sposobami tego, co się działo w Galicyi.

Partii narodowo-demokratycznej nie umiał się przed wojną nikt przeciwstawić. Partye rewolucyjne działały w podziemiach, posiadając wskutek tego wpływ ograni-



POŻEGNANIE REZERWISTÓW NA PRADZE.

FOT. C. B. W. N. K. N.



czony. Tak zwani postępowcy warszawscy wykazali w ostatnich czasach prawie że historyczne niedołęstwo. Pojedyncze głosy malkontentów ginęły w zapomnieniu. Stojący na uboczu polityki reprezentanci bierności ze swoim organem „Kuryerem Warszawskim“ poddawali się zazwyczaj wskazaniom polityki narodowych demokratów. Programem tych ostatnich było zresztą utrzymanie społeczeństwa w poczuciu, że dzieje się dobrze, że inaczej dźać się nie może. Kiedy narodowa demokracja po przegraniu kampanii wyborczej uratowała swoje znaczenie i swoje wpływy zapomocą sprawy żydowskiej, wszyscy poszli za jej głosem. Był antysemitycznym „Kuryer Warszawski“, chociaż należał do żydów — stał się nawet bezkrytycznym propagatorem antysemityzmu Aleksander Świętochowski, wódz postępu warszawskiego. Narodowa demokracja zwyciężyła na całej linii, nie dbając o resztę... Poza nią była tylko bierność, bez głosu protestu. Zdawało się, że żadna iskierka buntu nie tli się w tem popielisku. Zdawało się, że wszyscy czynią zgodne wysiłki, aby nie zepsuć panującej harmonii. Kołysano społeczeństwo do letargu i śledzono z niepokojem, czy się czasem nie obudzi. To nie było nikomu na rękę. Chwalono i wielbiono wszystkich z zawziętością. Pobielenie ludzi było daleko niebezpieczniejszym objawem od oczerniania ich. Nigdy nie umarło w Polsce tyle jednostek znacznych, szlachetnych, wybitnie uzdolnionych, co w tym czasie. W życiu ich nie brakowało, rodzili się po śmierci. Krytykowano się niechętnie, wszędzie rozlegało się przyjacielskie poklepywanie, o ludziach niepotrzebnych, złośliwych poprostu milczano. Jeśli ktoś wysuwał się ponad miarę przeciętną i jeśli tego już ukryć nie było można, okrzykiwano go genialnym i odkładano *ad acta*. Pan-

teon narodowy pęczniał, ale był zamykany przez odzwier-
nych opinii na kłódkę. Jeśli przemawiano o przeszłości, to
najchętniej wierszykiem Or-otowym z łezką. Czasami, jeśli
tak wypadło, ktoś gdzieś wstępował na piedestał i groził
całemu światu potokiem frazesów.

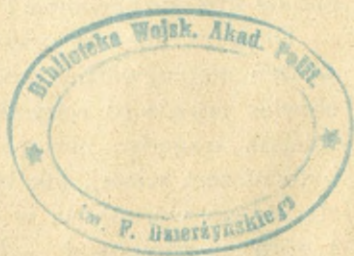
Zdała od tego wszystkiego żyła część społeczeństwa.
Miała mimo wszystko swój byt utajony, prawie podziemny,
miała swoje zagadnienia, których nikt nie poruszał, miała
swoje dążności, które nikt nie interesował. Społeczeństwo
Warszawy i Królestwa Polskiego nie było wtedy
zdolne do świadomych czynów, któreby stanowiły jeden
zwarty program, miały jedną wytyczną. Społeczeństwo
w Królestwie Polskiem miało zaledwie piękne odruchy,
które tylko czasami przybierały żywiołowy charakter. W ta-
kich nielicznych wypadkach woli prasa i opinia publiczna
stawała się grzeczną i służyła pokornie, jak piesek na łap-
kach. Prasa bała się społeczeństwa, społeczeństwo po ci-
chu i nawpół świadomie nią pogardało. Znaczna część
pism warszawskich była przeciwna strejkowi szkolnemu,
partye polityczne niejednokrotnie naradzały się nad tem,
aby rozpocząć akcyę antystrejkową. Pomimo to jednak
w ostatecznej chwili zabrakło odwagi. Bano się występo-
wać przeciwko temu, co było samorzutnym tworem...
dzieci warszawskich.

W wielu stowarzyszeniach warszawskich rządziły liche
indywidua, żadne wpływów i znaczenia, broniące dostępu
każdemu świeżemu powiewowi — ale są i takie, gdzie od
szeregu lat prowadzi się pracę skupioną, pożyteczną i...
zapoznaną. Jeśli utarł się frazes powszechny, że społeczeń-
stwo ma taką prasę i opinię, na jaką zasługuje, to w da-
nym wypadku nie może on znaleźć zastosowania. Społe-

czeństwo Królestwa Polskiego lepsze jest od swojej prasy i od swojej opinii — jego odruchy nieraz nawpół uświadomione były nieraz więcej warte od mądrości politycznej wszystkich męherów warszawskich. Pomiędzy jednymi i drugimi była mimo wszystko przepaść, przepaść głęboka. Gotowe na każde zawołanie do ofiarności i poświęcenia patrzyło to społeczeństwo przez długie lata, jak jego rozrzną hojność marnowano w sposób bezprzykładny, jak jej nadużywano dla celów partyjnych, a nawet osobistych.

Niestety, tak właśnie mści się niemoc czynu...

Ktokolwiek jednak staje dzisiaj do nowej pracy tu, gdzie przez czas tak długi srożyła się niemoc, popolitość i bierność tragiczna, niechaj pamięta, że zadaniem jego jest obudzić przedewszystkiem z uspienia te dobre instynkty życia. I może to jest najistotniejszym obowiązkiem Galicyi wobec Królestwa Polskiego, wobec Warszawy.



II.

Ze wszystkich miast w Europie, które miały być objęte zawieruchą walki, Warszawa może najmniej w wojnę wierzyła, najmniej do jej ewentualności wszelakich była przygotowaną, najmniej ją przewidzieć i z góry przemyśleć umiała. Wszakże już wtedy, kiedy od rozpoczęcia zatargu austriacko-serbskiego ciężkie chmury wtaczały się z wolna na horyzont dziejów, lekkomyślni Warszawiacy pełni beztroskiej pogody wewnętrznej wyjeżdżali na letnie wywczasy. Cała prasa warszawska uważała wówczas za swój święty obowiązek, aby uroczyście wszystkich zapewnić, że wojna europejska jest czemś zgoła niemożliwym.

Dlatego zapewne wojna była dla nas zjawiskiem najzupełniej niespodziewanem!

Dlatego zapewne przyniosła ze sobą tyle zagadek, tyle wrażeń nieprzewidzianych, tyle straszliwych powikłań — chociaż prawie to wszystko, cośmy przeżyli jako najboleśniejszą tragedję narodu „na trzy części rozszarpanego“ było niczem więcej, jak tylko logicznem i koniecznem następstwem warunków, w których naród polski od lat stu z górą się znajdował — było poprostu nieubłaganą konsekwencyą naszego bytu porozbiorowego.

Warszawa nie wierzyła w wojnę — i nawet wtedy,



AEROPLAN.

FOT. C. B. W. N. K. N.



kiedy telegramy doniosły oficjalnie o wypowiedzeniu wojny przez Austryę Serbii, u nas pocieszano się wzajemnie :

— To jest tylko lokalny zatarg, wojna europejska byłaby w czasach dzisiejszych zjawiskiem tak potwornem, że zatarg ten musi być za wszelką cenę zlokalizowany.

Tego samego dnia jednak inny nastrój ogarnął Warszawę.

Po dniu pogodnym, upalnym, przesyconym spiekotą słoneczną nadciągnął wieczór pochmurny, bezgwiezdny, i ponury. Mocny wiatr zaszumiał nagle pomiędzy gałęziami drzew ogrodowych, uderzył ze wściekłością o mury kamienic, wstrząsał oknami, dźwięczał po szybach i bawił się migotaniem świateł ulicznych. Nieprzenikliwy płaszcz ciemności opuścił się na całe miasto. Ludzie, którzy wyszli na spacer i zapełnili ogródkowe kawiarnie uciekali pospiesznie do domów, zaniepokojeni pierwszym pomrukiem nadciągającej burzy. Wtem, jakby na umówiony znak lunął potokami rześisty deszcz i łoskot pierwszego piorunu rozdarł powietrze. Tak przeszła długa chwila. Pioruny uderzały coraz częściej. Stałem wtedy razem z innymi wtłoczony w cizbę ludzi pod werandą kawiarni nadświdrzańskiej na rogu Nowego Świata i Aleji Jerozolimskiej. Przy każdej błyskawicy przypominał mi się mimowoli początek epopei sienkiewiczowskiej. Wtem jakiś odgłos charakterystyczny, nigdy nie słyszany przedarł się pomiędzy chlupotaniem strug deszczu i dotarł do naszych uszu. Oto rósł ciągle jakiś turkot potężny, docierał coraz bliżej szczęk żelaza i rzeźkie dudnienie kopyt końskich. Tłum się zakołysał, wstrzymując oddech w piersiach. Wreszcie jakaś masa bezkształtna przeleciała przed nami w migotliwym świetle latarni pomiędzy czarnymi girlandami liści i skręciwszy prosto w Aleję Je-

rozolimską zadudniała po kamiennym bruku gwałtownie, ciężko — zachrzęściła spiżem i żelazem. Z pod kopyt końskich sypnął się snop iskier, ciemna postać żołnierza pochyliła się naprzód, zadygotały łańcuchy, konie, jakby przeżone tym nagłym ruchem szybko pomknęły naprzód i ukazały naszym oczom spiżową, w świetle błyskawic i lamp ulicznych migocącą lawetę armaty.

Kilka pułków artylerii przejechało przed nami. Najpierw działa z jaszczkami, potem tabory, powózki, obozy i oddziały sanitarne. Czasami poświst wichru głużył na chwilę wszystko, potem słychać było znowu miarowy, bezustanny turkot wielkich kół.

Takiem było pierwsze zjawisko wojny, jakie zobaczyła Warszawa. Od tej chwili wojna stała się czemś rzeczywistym, dotykalmem.

Tej samej nocy, ledwo uspokoiła się burza, olbrzymi wybuch wstrząsnął powietrzem i przerwał sen wszystkim mieszkańcom. Wielu wypadło na ulicę — nad całym miastem gorzała łuna potwornych rozmiarów. Olbrzymi pożar wzniecony przypadkiem w jednym ze składów wojskowych szalał z żywiołową siłą aż do białego rana.

Komuż ta pierwsza noc pełna tajemniczej niepewności, potężna, jak zjawisko żywiołów nie nappełniła serca lękiem i najśmielszą nadzieją zarazem.

— Niech żyje wojna, bo ona przerwała wreszcie ten mur cmentarny, który nas otaczał — pisał w jakiś czas potem pod wrażeniem tych pierwszych chwil Wincenty Rzymowski.

Jeszcze wtedy nie istniały żadne orientacje, spojrzenie w mglistą niepewną przyszłość podniecało wszystkie umysły. Mimowoli wierzyliśmy wszyscy, że Polska, że Warszawa

musi znaleźć pole do czynów wyjątkowych, samorzutnych. Wszakże ta wojna europejska była już od lat tyłu jedynym marzeniem wszystkich głów zuchwałych, namiętnych i awanturnicznych — wszakże ona jedna była ostatnią rękojmnią, że wystąpimy nareszcie czynnie i samodzielnie na arenie dziejów, że minie wreszcie to głuche milczenie, które przygniatało nas kamieniem grobowym.

Ale to były odruchy, niestety odruchy, pozbawione wszelkiego związku z najbliższą, dotykającą rzeczywistością.

Warszawa, jak to już poprzednio podkreśliłem była najzupełniej nieprzygotowana do możliwości wojny. Dlatego zapewne nie mogło wyłonić się odrazu i utrwalić jakiegoś jednolite stanowisko społeczeństwa, dlatego nie można było myśleć chociażby o jakiejś twardej, konsekwentnej taktyce działania biernego, o dobrze umotywowanej, logicznej powściągliwości. Cały ten pierwszy okres nastrojów warszawskich jest niczem innym, jak tylko szeregiem instynktownych odruchów, szamotań wewnętrznych, usiłowań nieporadnych, chęci częstokroć sprzecznych. Wszystkie partie polityczne pozbawione swoich przywódców, którzy po największej części przebywali wówczas za granicą, nie wiedziały co począć. Zwłaszcza partie konserwatywne tkwiły w zupełnym bezruchu, opuszczając żałośnie ręce, do żadnego działania niezdolne.

Niektóre tylko stronnictwa radykalne z wielkim hałasem przystąpiły do narad zasadniczych, próbowały złączyć się w jedno wspólne zrzeszenie, usiłowały przyciągnąć do siebie za wszelką cenę nawet najmniejsze grupki polityczne, których w przeciągu pierwszych tygodni wojny potworzyło się bez liku pod najrozmaitszemi szumnymi nazwami.

W końcu usiłowania owe skończyły się na niczem wię-

cej, jak tylko na dyskusjach jałowych i studenckich sporach nad terminologią partyjną.

To wszystko, co nam niejednokrotnie poczytywano za liśnią przebiegłość i chytrą powściągliwość było bezradnością, brakiem wyrobienia politycznego i solidarności narodowej. Dochodziło już nawet do tego, że partie polityczne o zupełnie wrogich tendencjach, partie, które za chwilę miały zwalczać się namiętnie, zapytywały się wzajemnie przez posłów, dyskretnie ale wyraźnie :

— Co robić !

I nie pochodziło to bynajmniej ze szlachetnej dążności zespalania się, cementowania Ojczyzny rozbitej na kawałki, ale była to prosta bezradność ludzi, którzy czuli, że coś robić trzeba, ale nic zrobić nie umieli. Jedni chronicznie do czynu niezdolni, drudzy w tej właśnie chwili opuszczeni przez swoich przywódców, którym zwykli byli ufać ślepo i bezkrytycznie.

To było powodem, że pierwsza tak zwana „oryentacya“ nie przyszła z góry, tylko z dołu i to w tak intensywnej formie, że narzucona żywiolowo przez tłum zapłodniła na długo umysły wielu polityków i publicystów, dla których stała się jedynym i rzeczywistym źródłem natchnienia, nicią przewodnią w labiryncie rozmyślań nad bytem narodowym. I jeszcze dotychczas żaden z umysłów w tak szczególny sposób „zapyłonych“ nie chce zrozumieć, że cała jego działalność jest niczem więcej, jak tylko literacką parodią tego, co było słusznem i sprawiedliwem tylko jako odruch instynku zbiorowego.

A stało się to natychmiast po pierwszej mobilizacji.

Pamiętam na Pradze pierwsze szeregi rezerwistów wyruszających na pole bitwy w otoczeniu matek, sióstr, braci,



PIERWSI RANNI NA ULICACH WARSZAWY PO POGROMIE SAMSONOWA.
FOT. C. B. W. N. K. N.



żon i dzieci. Pamiętam zapłakane kobiety z dziećmi, które biegły długo za wojskiem i machały rozpaczliwie chusteczką łzami zroszoną, chociaż już nikt na nie nie patrzył. Pamiętam na Krakowskiem Przedmieściu tłumy proletariatu żydowskiego, kobiety w czepcach siedzące długim szeregiem na trotuarze i czekające na rezerwistów żydowskich, których wyprowadzono pod bagnietami z gmachu uniwersyteckiego.

Czyniło to wszystko wrażenie niesłychanie przygnębiające.

Cały ten okres czasu to jedno szamotanie się wewnętrzne, to nieświadomość najbliższych celów, to wzmaganie się niepewności, to błędzenie myśli skołatanej, która napróżno szukała dla siebie prostej i pewnej drogi. Wieści, które niebawem zaczęły napływać do Warszawy ze Lwowa, artykuły i informacje pism rosyjskich w Galicyi wschodniej obnażyły bezwstydną, azyatycki nacjonalizm Rosyi, który przejawiał się z równą intensywnością we wszystkich organach myśli politycznej rosyjskiej. Warszawa, która mimo szumnych obietnic „odezwy wielkiego księcia“ napróżno czekała na jakikolwiek namacalny dowód liberalizmu sfer rządzących — patrzyła w zamian za to przerażonemi oczyma na los Lwowa i Galicyi wschodniej.

I tak oto społeczeństwo warszawskie po doświadczeniach i przeżyciach wielu ujrzało się znowu samotnem, opuszczonem, na słabych tylko siłach swoich polegającym, nieufnem wobec własnych marzeń, podejrzliwym wobec wszystkich obietnic — ale przez to już coraz godniejszym życia i nadziei...

Z własnego natchnienia prasa warszawska wypowiedziała jeszcze jedną wojnę — rzucając rękawicę Polsce galicyjskiej. Ta niesłychana kampania, w której posługiwano się bronią wszelaką, trwała tak długo, aż wreszcie samo

społeczeństwo zaczęło protestować przeciwko ohydnie takiej akcji, aż wreszcie odważne wystąpienia Kazimierza Bartoszewicza, Wincentego Rzymowskiego, Stanisława Thugutta i Cezarego Jellenty kres temu położyły.

Po pierwszych nastrojach Warszawy niechęć i nieufność do Rosji rosły z dniem każdym, jako odruch żywiołowy, niczem niepowstrzymany. Choć w tej samej Warszawie popularną jeszcze była idea zjednoczenia ziem polskich, chociaż nie opuszczała jej ani na chwilę wiara w ostateczny tryumf Rosji i koalicji — to jednak zwycięstwo to poczęło niebawem ciążyć nad Warszawą jak widmo złowieszcze, jak symbol przyszłej tragedii. Nim jeszcze Warszawa otrząsnęła się z sugestji rosyjskiej, już nawpół świadomie pragnęła, aby rosnąca w naszych oczach megalomania Rosji została upokorzona. Warszawa przeczynała, czem może być zwycięska Rosya.

Nie napróżno urzędnicy rosyjscy opowiadali wszystkim:

— Jeśli my pobijemy Niemców, nikt tu nie będzie mówił po polsku!

Warszawa z drżeniem serca czekała na dalszy rozwój wypadków, które wyłaniały się w postaci ofenzywy generała Hindenburga. Niepokój ściszał wszystkich za gardło, każdy odczuwał, że dzieje się coś niespodziewanego i nieprzewidzianego. Rozpoczynała się walka tytaniczna. Losy wojny były znowu niewiadome i zagadkowe. Warszawa i cały kraj zapadły w letarg oczekiwania. Umikła prasa — wszyscy nadśluchiwali w milczeniu nadciągającej burzy

Oto trochę wrażeń bezpośrednich z dni październikowych.



WIEŚ NAD RAWKĄ.

FOT. C. B. W. N. K. N.



III.

W samo południe wyjeżdżaliśmy na pozycje pod Warszawę. Nasz wielki automobil sanitarny, przerobiony ze starego omnibusu, sapał niecierpliwie i klekotał w takt jazdy roztrzęsioną karoseryą. Właśnie w tej chwili dwa aeroplany niemieckie unosiły się wysoko nad miastem. Kiedyśmy przejeżdżali przez Saski plac, zalany potokami słońca, jeden z nich krążył nad nami, jak ptak drapieżny, który upatruje zdobyczy. Zdawało się, że lada chwila, jak strzała przesyje powietrze i z okrzykiem krwiożerczym zatopi ostre szpony w ciele ofiary.

Strzelano do niego. Co chwila gdzieś w pobliżu pękał szrapnel i biały, wełnisty oblóczek wynurzał się powoli w przestrzeni. Jednocześnie tuż ponad naszymi głowami trajkotał niespokojnie, gorączkowo karabin maszynowy. Na ulicach było pusto — tłumy ludzi stały w bramach i przyglądały się niezwykłemu widokowi. Nie było popłochu, ani paniki. Wyglądało to poprostu tak, jak gdyby wszyscy byli zaskoczeni niespodziewaną ulewą. Ot stoją sobie w bezpiecznym miejscu rozbawieni niespodzianką i czekają spokojnie, kiedy wszystko przejdzie. Tylko od czasu do czasu jakiś spóźniony przechodzień umykał pośpiesznie, chroniąc się pod murem. Wreszcie latawiec nie-

miecki zachwiał się, jak ptak postrzelony i szybko zaczął umykać. Za uciekającym goniły białe obłoki, pragnące opaść go śmiertelnym kołem. Tylko karabin maszynowy urwał w połowie swoją nerwową grę.

W tej samej chwili puste ulice zaroily się znowu tłumem wesołym i gwarnym. Gdyby nie miarowy odgłos strzałów armatnich, huczących za miastem, możnaby pomyśleć, że to zwykły jesienny dzień, kiedy słońce uśmiecha się po raz ostatni do ludzi. Nigdy zalotność kobiet nie wydawała się tak powabną, jak wtedy, — nigdy nie było tyle beztroski, tyle lekkomyślności, uroczej swobody, jak w tym tłumie, który kilka chwil temu zaledwie, chronił swe głowy od bomb niemieckich. Wszystko stapało się w jednym uśmiechu słońca, w powietrzu czystym i niebie bez chmur. Niczyjego wzroku nie mąciła troska, ani lęk przed przyszłością. Czasami tylko ktoś odwracał głowę w tę stronę, gdzie słyhać było głucho dudnienie walki artyleryjskiej i zapewne z przyzwyczajenia pytał:

— Dziś bliżej, czy dalej?

Trudno zapomnieć tę chwilę. To był najwierniejszy nastrój Warszawy podczas ostatnich dni walk. Kilka dni temu wielu mieszkańców gromadnie opuszczało miasto. Najnamiętniejsi publicyści najnamiętniej uciekali, obrzucając na pożegnanie błotem społeczeństwo za to, że miało odwagę zostać i czekać na nieznaną dolę. I kiedy patrzyłem na ten tłum, kipiący życiem, pogardzający niebezpieczeństwem i śmiało wyzywającym przyszłość — wiedziałem, że jest to tłum ludzi, ...oczyszczonych z frazesów warszawskich, które się ukryły trwożliwie po kątach.

Znowu odezwał się niekrepowany niczem instykt zachowawczy, znowu sięgnął głębiej od tych wszystkich,

którym się zdawało, że tworzą samodzielną politykę polską. W tych czasach gorączkowych, niepewnych, kiedy huk armat rozlegał się nad naszymi głowami, społeczeństwo warszawskie odnalazło to, co najrealniejszą na razie przedstawiało wartość. A było tem bezzwzględne poczucie samotności.

Jechaliśmy dalej...

Dopiero koło rogatek wpadliśmy na zator wojska. Z trudem przesuwaliśmy się pomiędzy żołnierzami, wozami i końmi. W jedną i drugą stronę ciągnęła artylerya, a pomiędzy nimi poruszały się długim węzłem pułki piechoty, idące na pozycye. Gdzieniedzie widać było obozujące tabory, posterunki sanitarne, a nawet małe rezerwy. Wszędzie snuli się żołnierze, co chwila wynurzały się ich postacie z małych sklepików — stawali gromadkami na rogach ulic i otoczeni setkami ciekawych, opowiadali...

Odgłos strzałów armatnich stawał się coraz wyraźniejszy. Coraz częściej spotykaliśmy ludzi, przysłaniających oczy ręką i patrzących w tamtą stronę.

Coraz więcej było twarzy smutnych i niespokojnych. Horyzont powiększał się coraz bardziej, dwa długie łańcuchy podmiejskich domków urwały się nagle i oto widać już było daleką równinę, gdzie huczały strzały, wykwitały bukiety dymu i migotały błyski pożarów. Małe wełniste obłoczki pękających szrapneli snuły się leniwie gromadami po niebie. Nad samą szosą na wale ziemi stała gromada kobiet ubogich, wpatrzonych w mglistą dal. Twarze zastygły w milczeniu, tylko w oczach czaił się lęk i przerażenie.

Koło nas przesuwali się wciąż ludzie, uciekający z całym dobytkiem do Warszawy. Mijały nas wielkie wozy,

wyładowane służbą folwarczną, szybko pędziły stada bydła, to znowu widać było karety, powozy dworskie albo chłopskie drabiniarki, gdzie wszystko było razem zmieszane: worki ze zbożem, prosięta, skrzynie malowane, ziemniaki, kapusta, poduszki i dzieci. Na platformach przewożono dobytek letników, których wojna zaskoczyła na wywczasach pod Warszawą. W powietrzu, pełnym zgielek i jazgotu uciekających, skrzypiały miarowo koła jaszczków artyleryjskich — strzały armatnie przestały huczeć, zaczęły grzmieć.

Dobrnęliśmy wreszcie do naszego posterunku. Długim szeregiem stały wojskowe samochody sanitarne po jednej stronie drogi, jaszczki artyleryjskie po drugiej. Dalej na froncie strzelała bateria ciężkich dział. Co kilka minut rozlegał się straszliwy, suchy trzask, jak stokrotnie wzmożony strzał sztucerowy. Powietrze kołysało się niby wichrem poruszone i grało długo metalicznym dźwiękiem mknącego pocisku.

Zdaleka dochodził nas odgłos lekkiej artylerii, a od czasu do czasu można było nawet słyszeć strzały karabinowe. Na całej linii wrzała intensywne bitwa artyleryjska. Słuchaliśmy jej do wieczora. Zbieranie rannych było niemożliwe. Dopiero z nastaniem pierwszego zmroku pozwolono nam wyprawić się na ochotnika do okopów. Pojechaliśmy w kilku drezynami. Cisza ogarniała pola — od czasu do czasu tylko przerywał ją strzał armatni, natychmiast inne baterie budziły się z uśpienia i jak czujne brytany odpowiadały krótkim, nerwowym szczeknięciem.

Pewną część drogi musieliśmy przejść pieszo. Szliśmy, potykając się od czasu do czasu o wystrzelone szrapnele, grzęźliśmy w dołach, wywierconych przez granaty. Świe-



BEZDOMNI W DOLINIE SZWAJCARSKIEJ.

FOT. C. B. W. N. K. N.



ciły nam coraz wyraźniej łuny — pociski pękały od czasu do czasu, jak ogniste rakiety. Poraz pierwszy posłyszałem straszliwy wizgot szrapnelu, przesywającego powietrze ponad głową. Dostaliśmy się do okopów sami nie wiedząc kiedy. Nagle wyrosła przed nami postać żołnierza, który zastawiając się bagnetem, zawołał:

— Kto idiot?

— Sanitary — odpowiedział nasz przewodnik.

— Nu charaszo...

Okazało się, że rannych jest niewielu. Wyszukaliśmy zaledwie kilku i zabraliśmy na nosze. Czysta pościel zabarwiła się krwią świeżą, czerwoną. Żaden z ranionych nie mógł iść o własnej sile. Krzepcy, potężnie zbudowani żołnierze słaniali się na nogach, jak małe dzieci. Jednego z nich trzeba było natychmiast opatrzyć. Był raniony w głowę, z której płynęło tyle krwi, że trzeba mu było obwiązać całą czaszkę i twarz. Niosłem go i patrzyłem z przerażeniem na krwawą maskę. Wracaliśmy w milczeniu, a on od czasu do czasu wymachiwał rękoma i rzucał się niespokojnie, mamrocząc jakieś niezrozumiałe słowa. Inny, którego nieśli moi towarzysze, śpiewał chrapliwym głosem jakąś monotonną dumkę ukraińską. Na polach, zastygłych w milczeniu straszliwym, milczeniu przed burzą, ta piosnka rannego, podobna była do wycia upiora.

Ktoś zwrócił się do niego łamanym rosyjskim językiem:

— Ziemplak, nie piej!

Ale on śpiewał dalej.

Wreszcie doszliśmy do naszych „drezyn“. Odrazu zrobiło się nam weselej. Szyny kolejowe, błyszczące w ciemnościach, jak nić przewodnia w labiryncie, wydały nam się zbawieniem.

Ułożyliśmy rannych na dwóch drezynach i nerwowo zaczęliśmy poruszać dźwignią. Zdawało się, że już niebezpieczeństwo minęło, ktoś nawet zaczął dzielić się wrażeniami z wycieczki, jakby uważał ją za skończoną. Wtem od strony okopów niemieckich buchnęła niespodziewanie w górę ognista rakietą. Powódź białego światła zalała całą przestrzeń — tajemniczy mrok nocy uciekł od nas daleko.

Było tak jasno, że zobaczyliśmy nasze przerażone twarze, powleczone trupią bladością. Zmartwieliśmy na chwilę, aby potem rzucić się ze zdwojoną energią do ucieczki. Wszyscy pracowali z zaciętymi zębami, nic nie mówiąc. Tylko żołnierz, ranny w głowę, wybuchnął szalonym śmiechem... Po chwili światło zgasło, ale jednocześnie usłyszeliśmy najpierw huk armaty, potem szalony, złowieszczy świst szrapnela. — Nikt nic nie mówił, ale każdy czuł, że wszyscy w tej chwili czekamy na śmierć. Uderzył wreszcie gdzieś niedaleko od nas, w ciemności widzieliśmy olbrzymi słup ziemi, wylatującej w powietrze. Piasek zasypał nam oczy tumanem. Drugi i trzeci szrapnel pękł już daleko za nami. Miejsce, gdzieśmy się znajdowali przed chwilą, było miejscem śmierci. Obejrzelśmy się za siebie. Czerwona łuna zachodzącego słońca jeszcze nie zgasła. I zdawało się, że to w jej wnętrzu, na chmurach, przesyconych krwawym światłem, jakieś tajemnicze wulkany huczą i grzmiają rozwścieklone. — Zdawało się, że to jest walka konającego światła z mrokiem, ogarniającym świat cały. Lecz światło gasło, tylko zły, głuchy pomruk płynął ku nam stamtąd. Cisza ogarniała wszystko...

Kiedyśmy wracali do miasta, wioząc rannych, armaty przestały już strzelać. Drogą nikt nie jechał — tylko od czasu do czasu spotykaliśmy artylerzystów, śpiących na



STRZELCY SYBERYJSCY NA ULICACH WARSZAWY.

FOT. C. B. W. N. K. N.



ziemi, koło armat. Tu i ówdzie płonęły ogniska, w ich świetle rysowały się spokojne twarze żołnierzy. Mijaliśmy potem przedmieścia głucho, milcząco, opuszczone przez całą ludność.

Dopiero za rogatkami ujrzelśmy znowu Warszawę, zalaną potokami światła, pełną życia i gwaru... Ranni dźwigali się na pościeli i patrzyli szeroko otwartymi oczyma na to dziwne, niezrozumiałe dla nich widowisko...

IV.

Natychmiast po odstąpieniu Niemców od Warszawy, wyruszyłem śladem ich odwrotu.

Po dwudziestu godzinach męczącej jazdy, po długich postojach w polu i na małych stacyjkach, dobrnęliśmy wreszcie pod sam zachód słońca do Skierniewic. Zniszczenie, które tu oglądaliśmy na dworcu i na stacji kolejowej, przeszło nasze oczekiwania mimo świeżych wrażeń z podmiejskich okolic Warszawy. Mosty wysadzone w powietrze, potworne bryły cementu odrzucone na bok, szyny poskręcane w spiralne wstążki, zgłiszcza magazynów i budyńków, pogruchotane zwrotnice, olbrzymie kadzie wodociągu, leżące na kupie gruzów dnem do góry, rusztowania żelazne potargane i z daleka podobne do skrzydeł jakichś apokaliptycznych bestyi, a pomiędzy tem wszystkim rude popieliska i żarzące się jeszcze kupy węgla — to wszystko składało się na obraz, pełen ponurej, żywiołowej siły. Co tylko jest w mocy niszczenia zostało tu dokonane z zadziwiającą systematycznością, z zastosowaniem wszystkich środków nowoczesnej techniki.

A obok leżało miasto, jakby nawpół umarłe, bez światła i ludzi, pełne głuchego milczenia, które przerywała czasami trąbka automobilowa, albo odgłos kopyt końskich.

W hotelu było zimno i ciemno — z trudnością zdobyłem dla siebie mały pokoik, łojową świeczkę, poduszkę i starą dziurawą kołdrę. — W nocy zbudziło mnie kołatanie do drzwi. Wyjrzałem. Jakaś rodzina, wędrująca końmi z Łodzi, błagała o nocleg. Nigdzie już nie było miejsca — nawet w sali bilardowej nocowało kilka osób. Rad nierad podzieliłem się swoim miejscem. Odstąpiłem swoje łóżko kobietom, a sam przepędziłem noc na krześle. Obok mnie, w kącie na płaszczach i derkach spało kilkoro małych dzieci. Słyszałem ciągle ich oddech krótki, niespokojny, gorączkowy. Od czasu do czasu zrywały się ze snu z płaczem i wymachiwały rączkami, jak gdyby odpędzały od siebie złe widma.

Tak minęła noc. Nad ranem wyjechałem najętą „ekstra-pocztą“ w stronę Rawy. Jechałem tą samą drogą, którą przed kilku dniami cofała się armia niemiecka.

Dwie olbrzymie fale ludzi, armat i wozów przepłynęły już dawno tędy — przepłynęły wszystkimi drogami, jakby łożyskami rzek potężnych. Z początku włókł się jeszcze za nimi daleki, ponuro brzmiący grzmot dział, potem i to ucichło.

Pierwszy goniec zimy, zwiastun śniegów i lodów, przejmujący jak tchnienie śmierci, wiatr listopadowy hulał po pustych drogach. Nastąpiła cisza, martwota i bezruch. Przyszło wyczerpanie sił, apatya bezwzględna, czasami nawet wzgardliwa nieciekawość dla wszystkiego, co się tam dzieje gdzieś na świecie.

Wszystkie objawy życia: smutki, radości, rozkosze, cierpienia, wszystkie zwycięskie i rozpaczliwe zmagania się z losem, przemieniły się w jeden odruch instynktu samozachowawczego, w najprymitywniejszy sposób bytowania.

Pola były puste, wsie martwe, dwory wyludnione, a miasteczka czyniły wrażenie żywych trupów, w których duch życia ledwo się kołacze. Na ulicach przechodnie mieli twarze obojętne, zmęczone i apatyczne — rozmawiali nawet niezbyt chętnie. A jeśli mówią, mówią o swoich kłopotach, o szarych codziennych kłopotach, które fala wojny zostawiła po sobie, jak miliony trujących pasożytów.

Komunikacyi nie było prawie żadnej — kto mógł i miał za co, najmował sobie jakiś wehikuł i jedzie do Warszawy, aby „wyprostować kości“. Gazety zjawiały się nader rzadko, w okolicach bardziej odległych trzeba było kupować je prawie na wagę złota. Wszystkie te miasteczka, wsie i osady były wciąż jeszcze jak odcięte od świata, jak podczas zajęcia ich przez wojska niemieckie. Wtedy to w sytuacji wojennej orientowano się z lotu ptaków, a najcenniejszym informatorem był chłop, wracający z podwody, który zaciągnięty gdzieś w bezpieczne miejsce, opowiadał szeptem nowiny.

Ileż wahań tragicznych, ileż niepewności i złowieszczych przypuszczeń przeżywały te biedne miasteczka, osady i dwory, odcięte od reszty kraju, pozbawione wiadomości nawet z gazet niemieckich. Do ostatniej chwili nikt nie był pewny najbliższego jutra. Życie przytłaczała nędza. Wojna i rekwizycya doprowadziła tu wszystkich do stanu najzupełniejszego wycieńczenia materialnego, uczyniła cały szmat kraju naszego podobnym do tej chałupy z bajki, w której osiadła, wypuszczona nieopatrznie Zła Dola, i z każdego kąta szczerzy swoją chudą, zgryźliwą twarz. Zdawało się, że przeszła tędy szarańcza, która objadła kraj do ostatniego ziarnka zboża, do ostatniej szczypty soli. Fala zniszczenia pożarła dobytek jednostki, zrabowała wszystkie

oszczędności, zapasy, zbierane przezornie i cały plon lat urodzajnych...

Przechodząc ulicami miasta widziałem niekiedy całe dzielnice, jakby zupełnie wymarłe. Drzwi, okna, szyby sklepowe pozabijane deskami, szyldy i tabliczki z nazwiskami pozdzierane, wewnątrz ani jednej żywej istoty. Robiło to na mnie wrażenie, że przechodzę po śladach zarazy, która powiała tu wszędzie swoją czarną chustą. W nocy kroki zabłąkanego przechodnia odbijają się w tych miejscach echem dalekiem, a wzrok usiłuje napróżno przebić nieprzeniknioną zasłonę ciemności, którą tylko gdzieś tam rozwidnia jakieś samotne światełko.

Tak wyglądały we wszystkich miasteczkach na linii bojowej położone dzielnice żydowskie.

Dwa razy widziałem ludność żydowską, opuszczającą swoje siedziby na rozkaz władz rosyjskich. Przodem szło kilka wozów. Chude koniska o pokaleczonych nogach, zapadniętych bokach i obnażonych prawie do kości grzbietach, ciągnęły olbrzymie stopy betów, mebli i najprzeróżniejszych gratów. Na tych piramidach siedziały kobiety i dzieci o twarzach bezmyślnie apatycznych, ze wzrokiem tępym i wygasłym. Obok szli woźnice brudni, o nabrzmiałych, czerwonych twarzach i niechlujnych brodach. Raz po raz świślał w ich rękach żylastych długi bat i siekł wynędzniałe boki zwierząt. Konie zapierały się mocno na wyboistej drodze i ciągnęły powoli wozy, które brzęczały żardzewiałymi łańcuchami, skrzypiały nienasmarowanymi kołami. A dalej posuwał się cały zbity tłum nędzarzy, niosący na plecach wszystek swój dobytek. Szły kobiety płaczące, prowadząc za rękę gromady dzieci, niewymownie

brudnych, o rozczochranych, parszywych głowach, szli mężczyźni o twarzach białych, jakby z krwi wyspanych, uginając się pod ciężarem olbrzymich tobołów, zarzuconych na plecy — szły staruszki w perukach i czepcach, zgarbione w kabłąk, oparte na kijach tułających, do jakichś wieźm niesamowitych podobne. Szli handlarze, wyrobownicy, spekulanci małomiasteczkowi, kupcy bogaci, sklepikarze, faktorzy, rzemieślnicy i cały nieokreślony, niezbadany tłum nędzarzy, tak przyzwyczajonych do nielitościwych smagań losu, że dola obecna wydawała im się najwidoczniej czemś pospolitem, zwykłym. Szli, jak zwierzęta, przyzwyczajone do ćwiczenia grzbietu. Nikt nie płakał, w niczyich oczach nie było ani jednej iskierki buntu. Od czasu do czasu tłum, patrzący na ten pochód, rzucał złe, pogardliwe słowo.

Ale nikt na to nie odpowiadał. Długi sznur ludzi posuwał się naprzód w nieznaną drogę, na nieznaną los...

.....

V.

Było to podczas bitwy łódzkiej, w kilka dni po boju brzezińskim, kiedy spotkaliśmy ludzi, grzebiących trupy.

W wielkich dołach, wykopanych przez ludzi z szarwarku, układano jednego zabitego obok drugiego — warstwami. Potem cały ten pokład ciał ludzkich przesypany było ziemią z wapnem i układano warstwę następną. Ze stosu trupów wędrował jeden po drugim. Czasami nieśli go ludzie na płaszczu, rozpostartym szeroko, czasami wlokły go po ziemi konie. I wtedy głowa, podskakująca na każdej nierówności gruntu, zdawała się ożywiać na chwilę i miotać w bezsilnej rozpacz.

Byliśmy już daleko od tego miejsca, ale wspomnienie tych strasznych obrazów szło za nami, jak wierny pies.

Tak idąc, natknęliśmy się na jeszcze jednego zabitego.

Tuż obok plantu kolejowego, gdzie stał nasz pociąg sanitarny, leżał trup żołnierza niemieckiego, obrócony na wznak, z rękoma splecionymi na piersiach. W dłoniach, kurczowo zaciśniętych, trzymał jakiś przedmiot.

Tknieci dziwnem przecuciem, zatrzymaliśmy się koło niego. Wydawał nam się dziwnie spokojnym i cichym. Można było nawet pomyśleć, że to nie trup, że to śpi sobie jakiś człowiek, który przed chwilą rzetelnie pracował

i teraz odpoczywa. Tylko mundur na piersiach krwią przepojony, tylko nogi, sterczące w białych onuczach, już obdarte z butów, zdradzały śmierć i rabunek. Na oczach jego leżały dwa płaty śniegu, dwie białe plamy, widoczne z daleka — jakby dwa dotknięcia dobrej dłoni, która na te oczy, może bezsenne, przerażeniem obłąkane, świata pragnące nie widzieć, położyła białą zasłonę.

I wydał nam się dziwnie smutnym ten żołnierz niemiecki, kiedyśmy stanęli tuż przy nim. Pochyliłem się nad nim i zobaczyłem, że w dłoniach zaciśniętych trzymał starą, pożółkłą książkę do nabożeństwa, podartą i bez okładki. Pochyliłem się nad nim jeszcze bardziej i zobaczyłem pierwsze słowa modlitwy po polsku.

Przed nami leżał trup brata naszego. Zabity żołnierz niemiecki był Polakiem. Oprócz książki do nabożeństwa, nie było na to żadnego dowodu.

Napróżno szukaliśmy na jego piersiach blaszki z nazwiskiem, którą ma na sobie każdy żołnierz niemiecki...

Był to Polak bezimienny — może chłop poznański, może górnik śląski, może westfalski robotnik... Staliśmy nad nim i myśleliśmy skąd pochodzić może i gdzie jest jego rodzina, której nikt nie doniesie o smutnym zgonie ojca. Dwie białe plamy śniegu wryły się nam w mózg, jak dwa stygmaty cierpienia, — trudno się było oderwać od nich i teraz, kiedy myślę o tem wszystkim, widzę je znowu tak wyraźnie, jak wtedy.

Moi towarzysze postanowili wykopać dla niego osobną mogiłę, i pogrzebać go tuż obok plantu kolejowego. W naszym pociągu sanitarnym znalazły się dwie łopaty i oskard.

Trzech młodych, silnych ludzi chwyciło za nie i na



UCIECZKA POD WARSZAWĘ.

FOT. C. B. W. N. K. N.



miejscu, wybranem na mogiłę, rozległo się pierwsze suche uderzenie oskarda o zamarznąłą ziemię.

Praca szła opornie. Podorywka, ściśnięta mrozem, od-pierała najcięższe nawet uderzenia łopaty, tylko oskard mógł jako tako pracować.

Zmienialiśmy się przy nim ciągle i aniśmy się spostrze-gli, że już nastał wieczór i księżyc rozsuwa dokoła swoje zimne, migotliwe światło.

Koło nas zamajaczyły jakieś niewyraźne sylwetki. Za-trzymało się kilku ludzi i jakaś mała wiejska dziewczyna.

Patrzyli przez chwilę na naszą robotę, wreszcie jeden z nich roześmiał się i zawołał urągliwie:

— Ciężko idzie paniczom!

— Niewprawniśmy, lepiejby poszło, żebyście nam po-mogli.

— Cały dzień nacharowałem się przy tych umarlakach, to się po nocy nie będę brał do roboty. A co państwu potem?

— Widzicie, znaleźliśmy tu zabitego Polaka, nie trzeba go tu przecie, jak psa, niepogrzebanego zostawić.

Ale ludzie wzruszyli ramionami i poszli do domu — został przy nas tylko jeden, jakiś chuderlawy wyrobnik o tępem spojrzeniu i wymizerowanej twarzy. Stał i pa-trzył na nas. Wreszcie powoli podszedł bliżej, i nic nie mówiąc, zaczął pracować szybko, wprawnie, jak maszyna. Zdawało się, że z tego chuderlaka żadna robota nie bę-dzie miała pociechy. A oto musieliśmy patrzeć ze zdumie-niem na jego ruchy błyskawiczne, mądre i celowe, na zgo-dność rytmu jego uderzeń i żelazną automatyczną wy-trwałość.

W krótkim przeciągu czasu dokonał tyle, co my wszyscy

dotychczas — niebawem przedarł się przez stwardniałą skorupę, odrzucił oskard i chwycił za łopatę, zagłębił ją w sybkim mięszu ziemi.

Wtedy wszyscy rzuciliśmy się ze zdwojoną energią do pracy i niebawem dół był gotów.

Tymczasem wróciła z powrotem mała dziewczynka. Z daleka ktoś ją spostrzegł, że wlecze za sobą coś wielkiego, ciężkiego.

— Patrzcie, ona niesie krzyż.

Podeszła ku nam bliżej i upuściła na wał ziemi krzyż, pięknie wyciosany z bierwion sosnowych.

— Skądże to wzięłaś — zapytałem.

— Tata zrobił.

Ktoś wyciągnął z kieszeni pieniądze i podał jej srebrną, błyszczącą złotówkę.

Dziecko pokręciło niechętnie głową i szepnęło cicho:

— Nie trzeba...

A nasz chuderlawy pomocnik dodał tonem objaśnienia:

— Ona nie weźmie...

Kiedy już wszystko było gotowe, przenieśliśmy na własnym jego płaszczu trupa polskiego żołnierza. Ostrożnie opuściliśmy go na pasach w dół wykopany. Leżał tam na wznak i znowu obróciły się ku nam dwie białe plamy.

Wziąłem pierwszy łopatę i rzuciłem mu garść ziemi na piersi. Osunęła się z głuchem szelestem po płaszczu i mundurze.

Prędko urosła mogiła, a na niej stanął krzyż z prostym napisem, wyciętym scyzorykiem:

„Tu leży Polak z zaboru pruskiego“.

Kiedy dzieło nasze zostało skończone, usłyszeliśmy turkot wozów i jęki rannych i okrzyki, wzywające nas do pracy.

Pobiegliśmy szybko wołając:

— Żegnaj bracie!

Obróciłem się potem raz jeszcze i w niepewnym blasku księżyca zobaczyłem mogiłę, a nad nią człowieka o łopatę opartego i małą wiejską dziewczynkę.

VI.

Cofające się wojska austriacko-niemieckie odeszły jak wiadomo jedną grupą na linię Częstochowa-Kraków, drugą na Toruń-Poznań. Kawalerya rosyjska przeszła wtedy granicę niemiecką pod Pleszewem. Niebawem jednak okazało się, że Niemcy cofając się przygotowali już z właściwą sobie systematycznością plan nowej ofensywy. Ledwo dotknęli się swojej bogato rozgałęzionej sieci kolejowej odżyli w nowej furii ataku. Wprowadziwszy natychmiast do boju nowe rezerwy, rozpoczęli słynne natarcie pomiędzy Wisłą a Wartą, które rozwinęło się niebawem w walkę pozycyjną, w tak zwaną walkę o lewy brzeg Wisły. Nowe natarcie skończyło się wojną oblężniczą, pozycje rozsypały się wedle biegu rzek Bzury, Rawki, środkowej i górnej Pilicy, Nidy i Dunajca.

Pola poryte już przedtem okopami, pola, które słyszały grzmot dział podczas pierwszego natarcia armii sprzymierzonych, stanęły znowu w ogniu walki, straszliwszej niż przedtem, dłuższej, uporczywej, zalewającej krwią każdą piędź zdobytej ziemi. Warszawa opasana żelaznym pierścieniem, została odcięta znowu od większej części Królestwa Polskiego. Warszawa żyje otoczona dokoła pustynią. O kilka wiorst od jej ulic gwarnych i ludnych krąży śmierć,

walają się stosy trupów, żarzą się stare zgliszcza i wscho-
dzą łuny nowych pożarów.

Ulicami maszeruje wojsko o twarzach zczerniałych, zmę-
czonych i szarych — a w drugą stronę ciągnie korowód
rannych w podartych szynelach, poszarpanych mundurach.
Są głodni, zmęczeni, utykają co chwila, ale niema dla nich
nigdzie miejsca, niema dla nich łyżki ciepłej stawy. Muszą
iść etapem, bo na dworcu czeka już kilkanaście pociągów
kalek, którzy nawet z pościeli dźwignąć się nie mogą.

Nocami przekradają się po cichu przez miasto rozbite
pułki. Nieraz stu ludzi zaledwie, a pomiędzy nimi strzepy
sztandaru pułkowego.

Warszawa słucha opowieści żołnierskich, Warszawa pa-
trzy na rannych i milczy. Nikomu już nie wierzy, czuje
zbliżającą się klęskę, wie już, że te wojska zmęczone, zo-
bojętniałe, pozbawione patriotyzmu, okradane i poniewie-
rane nie mogą zwyciężyć, że za dwa, trzy miesiące wy-
buchnie pomiędzy nimi dziki popłoch, którego nikt już
nie powstrzyma.

W tym okresie naprężonego oczekiwania była garść
ludzi, która próbowała zapomnieć o wojnie i wbrew woj-
nie rozpocząć samodzielną pracę kulturalną.

W Warszawie znalazło się trochę nowych przybyszów.
Wypadki wojenne uwięziły tutaj garść ludzi — dotych-
czas stałych mieszkańców Paryża, Krakowa i Lwowa. Ci
właśnie ludzie próbowali wspólnie z niektórymi żywio-
łami miejscowymi zorganizować program pracy kultural-
nej. Byli tam malarze, rzeźbiarze, publicyści, architekci,
poeci, ekonomiści i wielu innych. Był pomiędzy nimi także
i Wincenty Rzymowski, człowiek gorejący jak płomień,
którego działalność była przez cały czas wojny jednym na-

miętnym głosem protestu. Dziś większość z nich jest nieobecna, jedni walczą w Legionach, drudzy jako obcy poddani wywiezieni zostali w głąb Rosyi.

W tym właśnie czasie, o którym mowa, padło hasło odbudowania Polski. Centralny Komitet Obywatelski rozporządzał dość znacznymi funduszami, aby tę pracę podjąć. I podczas kiedy hasło to zyskało sobie tak wielką popularność na bruku warszawskim, że aż stało się wyświechtanym komunałem, kiedy utonęło w powodzi frazesów o których wspominałem — garść ludzi, o której wspominałem, próbowała znaleźć w tej odbudowie Polski urzeczywistnienie własnych pragnień i dążeń, próbowała związać je w jedną całość z tem, co od Wyspiańskiego i Witkiewicza powstawało w Krakowie. Ci ludzie rozumieli doskonale, że oto nadeszła chwila, kiedy można albo wiele błędów naprawić, albo do starych nowe dodać. Zrozumienie potrzeby odrębnej kultury polskiej było tem ziarnem, które u jednych wyrosło w wybujałą roślinę, u drugich wcale nie zeszło. Odbudowanie wsi polskiej, odbudowanie kościołów, dworów, miast i miasteczek polskich było długim szeregiem niezmiernie skomplikowanych zagadnień kultury polskiej. Z problemami estetycznymi, z problemami stylu swoistego łączyły się sprawy społeczne, higieniczne i ekonomiczne. Horyzont odbudowy Polski rozszerzał się z przerażającą szybkością przed każdym, kto usiłował zająć tu jakieś twórcze stanowisko. Z jednych zagadnień wyrastały długim szeregiem następne — otwierała się otchłań pracy, którą należało zaczynać od początku.

Pod wpływem silnej argumentacji zaczął to wkońcu rozumieć i C. K. O., który dotychczas przetapiał wszystko na naszą troskę o kęs chleba, który mimo swojej znako-

mitej organizacji kontynuował przecież tę specyficzną filantropię warszawską, równie szkodliwą, jak i pożyteczną.

Nie leży w ramach niniejszego odczytu omawiać szerzej ideologii tego ruchu, po którym zostało zaledwie kilka wydawnictw i nieco zebranego materiału. To jednak pragnę stwierdzić, że w tych czasach oczekiwania i nasłuchiwanie, był on może jedyną oazą świadomej pracy kulturalnej. Pozostaną wszystkim jego uczestnikom na zawsze w pamięci długie rozmowy, namiętne dyskusje i wszystkie chwile zbiorowej pracy. Była to błyskawicowa wizja życia, które czekało nas w pomyślnych warunkach rozwoju narodowego. Była to chwila krótkiego upojenia się słodkim trunkiem polskości, chwila zapomnienia, chwila, która odżyje może z żywiołową siłą wtedy, kiedy staniemy znowu przy swoich warsztatach pracy, kiedy zamilknie polityka i rozpocznie się budowanie ducha narodowego od nowa...

Niebawem ruch ten, w którym brali udział ludzie nieraz o sobie wzajemnie nie wiedzący — milknie pod ciężarem rozgrywających się wypadków.

Rozpoczyna się powolna, ale stanowcza likwidacja wszelakich sympatyj rosyjskich. Ufność w zwycięstwo Rosji upada pod brzemieniem zjawisk codziennych, obserwacji schwytych choćby... na ulicy. Pojęcie wojny nowoczesnej, jej ścisła zależność od środków technicznych, znaczenie przemysłu militarnego, pierwotność Rosji i słabość jej konstrukcji wewnętrznej — oto fakty, które poczęły coraz szybciej przenikać do świadomości społeczeństwa warszawskiego.

Te nowe drogowskazy trzeba było zdobywać samodzielnie. To, o czym dowiadywał się bez trudu na całym świecie każdy przeciętny czytelnik gazet codziennych —

inteligent warszawski musiał wykombinować, wychytrzyć i wypatrzeć. Opowiadano sobie wzajemne spostrzeżenia i refleksje cichym szeptem, obawiając się nieraz własnej odwagi w rozumowaniu.

Tymczasem prasa warszawska prowadziła w dalszym ciągu dezorientacyjną robotę. Jakby fałszywym uwiedzioną honorem, podtrzymywała chwiejący się sztandar Rosyi, zachwycała się zimną krwią Anglików, którzy z zimną krwią obchodzili z daleka biura werbunkowe. Podnosiła do znaczenia apoteozy solidarność w akcji trójprzymierza, nawet wtedy, kiedy pijani oficerowie rosyjscy krzyczeli na swoje psy w publicznych lokalach warszawskich:

— Frenche do nogi!

— Joffre waruj!

Prasa warszawska autonomię z Białegostoku przesłaną nam w upominku, nazwała faktem epokowego znaczenia dla sprawy polskiej.

To jedno jej przyznać należy na wieczną rzeczy pamiętkę, że była wierną, wierną do ostatka...

Zwycięska ofenzywa w Karpatach, zdobycie Przemyśla i Lwowa — usunęły wreszcie wszelkie wątpliwości. Świadomość nieuniknionej klęski Rosyi stała się powszechną. Mówili o tem wszyscy wszędzie — w kawiarniach, restauracjach, tramwajach, na ulicy i w domu. Oficerowie rosyjscy tłumaczyli się pokornie:

— Tak znajete, u nas snariadow niet...

Warszawa poweselała — po mieście krążyły anegdoty i bon mots. Przypomniała się Rosya z wojny japońskiej. Odebranie Lwowa napравиło humory ludziom wszelkich orientacji. To, co kilka tygodni temu było jeszcze tragicznym stało się jowialnem. Biskup Eulogiusz z wampira prze-



PIERWSZY PATROL NA ULICACH WARSZAWY.

FOT. C. B. W. N. K. N.



obraził się w postaci z operetki. Przeglądy wojenne „Armiejskiego Wiestnika“ i „Russkiego Inwalida“ odczytywano głośno jako aktualną satyrę. Humor warszawski miał w tych czasach wszelkie znamiona zjadliwej pogardy. W istocie pogarda dla Rosyi była najbardziej miarodajnym objawem ówczesnych nastrojów warszawskich. Pogardzali najsilniej ci przedewszystkiem, którzy najdłużej w Rosyę wierzyli.

Na dwa miesiące przed opuszczeniem Warszawy rozpoczęła się ewakuacja. Zabierano wszystko, co się dało. Wywożono resztki naszego dawnego splendoru. Z samych Łazienek wywędrowało dziewięćset olbrzymich pak. Nie ocalały nawet obrazy w plafonach ściennych umieszczone, odrywano okucia brązowe ze drzwi, ozdoby z kominków. Olbrzymie platformy wywoziły codziennie stosy aktów i najprzeróżniejszych gratów urzędowych. Na jednym stosie widzieć można było nieraz wytworne meble z XVIII wieku i kulawe stołki z jakiegoś cyrkułu. Codziennie odchodziły olbrzymie pociągi w stronę Petersburga. Cała cma urzędników ewakuacyjnych szukała żeru dla siebie i porywała co tylko się dało.

Tymczasem z całego kraju płynęły hiobowe wieści.

Wojska rosyjskie ustępując przed armią sprzymierzonych podpałały wsie, niszczyły zasiewy, uprowadzały ze sobą całą ludność. W niektórych miejscach dochodziło do starć gwałtownych. Tuż pod Warszawą stały łąny dojrzałego zboża, napróżno czekając na żniwiarzy. Dostałe ziarno sypało się z kłosów żyta. W owsie pasły się konie żołnierskie. Wszędzie włóczyły się bandy maruderów, grabiąc i niszcząc. W opuszczonych wsiach i dworach mieszkali „okopowi ludzie“, którzy w dzień ryli ziemię łopatami, a w nocy wyprawiali razem z żołnierstwem dzikie orgie.

Lasy jabłonowskie i lasy łochowskie zaroily się kilkuset tysiącami zbiegów z powiatu ciechanowskiego, przasnyskiego, pułtuskiego, makowskiego, z ziemi łomżyńskiej. Ludzie ukrywali się tu, jak dzikie zwierzęta. Mimo to pędzono ich dalej i wysyłano codziennie tysiącami do Rosyi. Zaczęły grasować choroby, zaraza porywała swoje ofiary dziesiątkami. Ludność miejscowa toczyła walki ze zbiegami, którzy niszczyli pola, rąbali lasy, roznosili ogrodzenia, niszczyli nieraz całe budynki, aby ugotować sobie trochę cieplej strawy. Złorzeczono sobie wzajemnie, a na drugi dzień wszyscy wędrowali razem na nieznaną przyszłość. Kto się za siebie obrócił widział zgliszcza swojej siedziby, widział plon zmarnowany.

— Za nami już tylko goły popiół — mówili zbiegowie.

Kiedy Warszawę otoczył wieniec pożarów, kiedy każdego wieczoru świeciły nam krwawe łuny ze wszystkich stron — uczyliśmy się nienawiści, nienawiści takiej, jakiej oddawna nie było pomiędzy nami. Warszawa miała zawsze dużo litości dla rosyjskiego żołnierza. Ile razy przechodzili oni przez ulicę, rzucano im papierosy, rozdawano jedzenie. W ostatnich dniach zapomniano i o litości. Wracały całe pułki z pozycyi — żołnierze, jak zmęczone zwierzęta kładli się pokotem na trotuarach i dyszeli ciężko. Ale nikt się nie zbliżał do nich, wszyscy omijali ich z daleka, okna i drzwi były zamknięte.

Warszawa pragnęła tylko, aby odeszli jak najprędzej, aby odeszli na zawsze!

I kiedy obudził ją nareszcie huk mostów wysadzanych w powietrze, z piersi wszystkich mieszkańców wydarł się jeden zgodny okrzyk:

— Nareszcie!

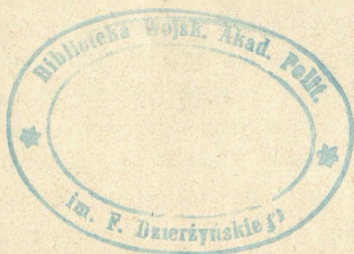
Zaroily się ulice Warszawy tłumami ludzi, którzy witali wkraczające wojska niemieckie ze spokojem i zadowoleniem.

Przez długi czas czekała Warszawa jeszcze na wojska austriackie i oddziały Legionów.

Te jednak nie weszły. Warszawa musiała się z tem pogodzić i rozpocząć nowe życie w nowych warunkach.

A jeśli w tych nowych warunkach nie umiała odrazu przemówić tak, jak tego żądali od niej bracia z innej dzielnicy, to jest to dowodem, że ciąży dziś na niej dziesięć lat bierności i niemocy, które wydziedziczyły ją z dawnych tradycyi rewolucyjnych.







48525/
r